

PRZEPUSTKA DO RAJU

MIROSŁAW PRANDOTA



Mirosław Prandota
„Przepustka do raju”

Copyright © by **Mirosław Prandota**, 2018
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta: **Bogusław Jusiak, Marianna Umerle**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Ilustracje na okładce: © **Alexi Tauzin – Fotolia.com**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-220-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Wersja Demonstracyjna

Spis treści

WELCOME TO SWEDEN	4
JAK POZBYĆ SIĘ AGRESJI	19
CZAROWNICE I POBOŻNI SĘDZIOWIE	28
DIABEŁ Z SÖNDRABY	37
WYDZIEDZICZONY PRZEZ HISTORIĘ	52
RAJ KONTROLOWANY	70
ELEGANCKI ŚWIAT W MINIATURZE	80
WARIAT, ALE POŻYTECZNY	94
PIROMANI XVII WIEKU	104
NA RATUNEK	118
CO TAM JEST GRANE?	128
TANIEC NA LINIE	145
SZWEDZKI LEKTOR I JEGO POLSKIE LEKTURY	162
NOBEL DLA POKRZEPIENIA SERC	175
PRZESTĘPCA NA WCZASACH	187
MAJORKA OKNEM NA ŚWIAT	203
DYREKTORZY	212
ZAPROSZENIE NA JAGODY	238
STREFA CISZY	247
POCZEKALNIA DO LEPSZEGO ŚWIATA	263
NA ŚLUB Z CUDZOZIEMCEM	273
SEKS POZOROWANY	295
MIASTO W EPOCE MULTI-KULTI	309

Polacy, którzy spędzili w tym kraju choćby kilka miesięcy, mają wątpliwości, czy Szwedzi są normalni, bo, na przykład, jadąc samochodem, ograniczają prędkość do nakazów znaków drogowych. I nie ma znaczenia fakt, że kiedy u nas w latach 90. ginęło w wypadkach 7 tysięcy osób rocznie, to w Szwecji tylko trzysta. Nienormalni i koniec!

WELCOME TO SWEDEN

Po raz pierwszy zobaczyłem Szwecję w roku 1974. Gdybym wtedy miał napisać książkę o tym kraju, dałbym jej tytuł „Raj”. Od tamtej pory minęło 40 lat z kawałkiem. Ten sam wycinek Skandynawii zasługuje dziś, przynajmniej w mojej ocenie, tylko na miano „Czyśćca”. Czy za kolejne 40 lat obywatele zorganizują tam sobie „Piekło” na własne życzenie? Niewykluczone, aczkolwiek granice ewentualnego piekła byłyby mocno dziurawe.

Gdy pytam trzeźwego Szweda o nastroje, odpowiada:

– Trochę się pogorszyło, ale mówią, że będzie lepiej.

Pijany, a więc szczerzy, Szwed referuje:

– Szwecja się stacza. Nasz kraj został zniszczony przez „strzelające” kino amerykańskie i przez głupich urzędników, którzy od lat importują darmozjadów z całego świata, żyjących potem u nas przez cały czas na zasiłku.

W Szwecji spędziłem ponad pięć lat, więc trochę się orientuję, czym ona pachnie. I mimo że pijany rzadko bywa wiarygodny, w pewnych okolicznościach ma trochę racji. Z zewnątrz widać to nawet lepiej niż od środka. W środku brylują rozwrzeszczane dzieciaki, których pod groźbą więzienia nie wolno

klapsem przywrócić do porządku, oraz niezwykle łaskawi dla przestępców urzędnicy. Idea tolerancji dla psychopatów i dewiantów przekracza tam nieraz wszelkie normy przyzwoitości.

– Czy oskarżony działał w dużym stresie? – pyta sąd bandytę napadającego na ludzi z bagnetem w rękę.

– O tak, Wysoki Sądzie! – odpowiada skwapliwie bandyta. – Rzuciła mnie narzeczona, ojciec nie odpowiada na moje telefony, ryby nie biorą, zepsuł mi się samochód i piłem wódkę przez cały tydzień. Czułem się bardzo nieszczęśliwy. Sam już nie wiem, jak doszło do tych kilku napadów.

To nie żart. To reguła. Na pewno większość z nas pamięta zbrodnię, jaka została popełniona we wrześniu 2003 roku w sztokholmskim domu towarowym na Annie Lindh pełniącej obowiązki ministra spraw zagranicznych. Zadźgał ją nożem urodzony 25 lat wcześniej Michajło Michajłowić, syn imigrantów z Serbii, któremu nie podobało się ostatnie wystąpienie telewizyjne pani minister, popierającej wcześniejsze ataki lotnicze Amerykanów na Serbię. Dostał dożywocie, ale zanim ten wyrok zapadł, adwokaci poradzili chłopakowi, jak się skutecznie bronić. Otóż trzeba poinformować Wysoką Sprawiedliwość, że cierpi się na urojenia, o których do tej pory wstyd było mówić. Im mocniej się cierpi, tym chętniej się zabija. No i Serb zabił, widocznie nie miał innego wyjścia.

Biegli uznali, że choroby psychicznej wprawdzie nie wykryli, ale jeśli sprawca twierdzi, że ma urojenia, to na pewno je ma, a wobec tego zasądzone dożywocie stoi cały czas pod znakiem zapytania. Gdyby nie nacisk opinii publicznej, która nie mogła odżałować popularnej pani minister, zabójca z pewnością trafiłby na leczenie w szpitalu psychiatrycznym, zamiast iść do więzienia.

Jeszcze w roku 2011 Michajło przebywał w więzieniu, później sprawa ucichła, widocznie media przestały interesować się zabójcą, ale w jego dokumentach nadal figuruje „epizod

psychiatryczny”, dzięki któremu przy sprzyjających okolicznościach morderca wyjdzie na wolność. Oczywiście od tej pory będzie pod kontrolą policji, a także zapobiegliwych sąsiadów, którzy, w odróżnieniu od moich rodaków, nie mają żadnych skrupułów informowania policji o wszystkim, co dzieje się wokół nich. Może to jest kontrowersyjna cecha charakteru, może nie, ale dzięki takiej postawie mieszkańców Szwecja zasłużyła sobie na opinię najbezpieczniejszego kraju na świecie. Przynajmniej do roku 2000, bo potem zaczęło być różnie.

Przestępstwo w ujęciu szwedzkich socjologów to tylko rodzaj nieszczęśliwego wypadku. I tak, na przykład, za gwałt dostaje się rok odsiadki, ale za nadużycia podatkowe lub nielegalny handel alkoholem – dziesięć lat. Długo omawiany i komentowany przez czytelników był przypadek sprzed lat („Expressen”, 8 czerwca 1994 roku), kiedy to trzech imigranci muzułmańscy – uczestnicy gwałtu zbiorowego – otrzymali karę w wysokości czterech miesięcy więzienia i nic ponadto, a w Wielkiej Brytanii automatycznie grozi za to 10 lat. Tak niski wyrok sąd uzasadnił następująco (cytuję dosłownie): „Sprawcy to cudzoziemcy, którzy nie znali języka szwedzkiego i nie mogli zorientować się, o co chodziło broniącej się kobiecie”!

Już tylko dla formalności dodam, że ta „kobieta” miała tylko 14 lat. Dwadzieścia lat później podobne przestępstwa przestaną szokować, a na liście kar pojawi się nowy „środek wychowawczy”: 30–50 godzin pracy społecznej!

No cóż, na swój sposób jest to kraj wyjątkowy. Nie każdy europejski sędzia zdobyłby się na taką „wielkoduszność”, ale akurat tego rodzaju przypadki nie robią najlepszej reklamy tamtejszemu wymiarowi sprawiedliwości.

Lump to nie jest lump, ale „człowiek nieszczęśliwy nie z własnej winy”, a taki wymaga specjalnego traktowania, przede wszystkim pomocy. No więc pomaga się nie tylko lumpom, ale wszystkim, którzy są w potrzebie.

Przypomnę, że zaraz po wojnie Polska otrzymała od zamorskiego sąsiada trzy komplety wyposażenia szpitalnego na 400 pacjentów każdy plus wiele innych świadczeń, na które istniało u nas ogromne zapotrzebowanie.

* * *

Zbyszek, którego poznałem, był bramkarzem pilnującym na co dzień porządku w jednym z warszawskich lokali rozrywkowych. Wysportowany, silny, znający sztuki walki. Kilkanaście lat temu pojechał do Szwecji na zaproszenie 35-letniego Ulfa, jednego z tamtejszych gospodarzy, który wcześniej akurat gościł kilka razy w tym warszawskim lokalu, gdzie Zbyszek sprawował funkcję bramkarza. Ponieważ Szwed mieszkał w pobliżu granicy norweskiej, pewnego razu wybrali się obydwaj do nocnej knajpki w Oslo.

Gdy siedzieli przy barze, Szwed został zaatakowany przez kilku Pakistańczyków. Podobno źle na nich patrzył i za karę miał dostać po głowie. Wyciągnęli go z fotela i zaczęli walić jeden przez drugiego. Zbyszek ruszył na pomoc, ale wtedy Pakistańczycy wydobyli z kieszeni noże. Zrobiło się niebezpiecznie, bo tamci, aby Polakowi wybić z głowy chęć interwencji, od razu pociachali Szwedowi twarz i ręce.

Zbyszek chwycił krzesło, uderzył nim jednego z napastników, zabrał mu nóż i stanął do walki. Rezultat był taki, że dwóch bandytów straciło życie, trzech odniosło rany, a roztropany, choć pocięty Ulf krzyknął: „Wiejmy!”. Miał świadomość, że trudno będzie obronić się przed prokuratorami, którzy w jeszcze większym stopniu niż w Polsce czyhają na takich, co to nie dali się zabić.

Ciąg dalszy dramatu można było wyczytać między innymi z polskich gazet, tyle że informacje były ni z gruszki, ni

z pietruszki. Otóż nasze gazetowe wygi napisały, że Polak napadł na Bogu ducha winnych turystów, pozabijał ich, teraz jedzie w poprzek całej Szwecji, zmierza na statek w Nynäshamn, a policja nie potrafi go złapać, do kitu taka policja!

A teraz wersja prawdziwa, zarejestrowana przeze mnie najpierw w rozmowie z Ulfem, potem ze Zbyszkiem, a uzupełniona o informację uzyskaną od pewnego oficera policji, z którym zakolegowałem się w domu znajomego redaktora magazynu dla myśliwych (szczegóły w rozdziale „Jak pozbyć się agresji”). Otóż ucieczka Zbyszka odbywała się cały czas pod kontrolą szwedzkiej policji, aczkolwiek oficjalnie nikt się na ten temat nie wypowiadał. Początkowo policja faktycznie zamierzała złapać sprawcę i oddać go do dyspozycji prokuratury, ale po wysłuchaniu świadków, którzy zdecydowanie oświadczyli, że Polak stanął w obronie Szweda, walczył najpierw w warunkach wyższej konieczności, potem już tylko w obronie koniecznej przeciwko przeważającej liczbie napastników, policjanci dali chłopakowi szansę. Niech go sądzą w jego własnym kraju!

Po przyjeździe do Warszawy Zbyszek od razu zgłosił się na policję. Jego czyn został faktycznie potraktowany jako obrona konieczna i na tym sprawa się zakończyła.

Historię tę przytaczam przede wszystkim dlatego, aby wyeksponować pewną charakterystyczną dla Szwedów cechę, jaką jest pragmatyzm (będzie jeszcze o tym mowa). Sprawca zabił, ale jego wina była problematyczna, działał bowiem w stanie wyższej konieczności, jest cudzoziemcem, więc po co zawracać sobie nim głowę? Owszem, gdyby został w Szwecji, to co innego, ale ponieważ ucieka, można mu w tej ucieczce pomóc, a przynajmniej nie przeszkadzać. Tego nie potrafi zrozumieć nikt, kto nie zna szwedzkiej mentalności, a nasi dziennikarze dali się nabrać na rzekomą policyjną nieudolność w kraju, gdzie o każdym (dosłownie!) wie się wszystko.

Tak na oko to Szwecja jest krainą równiutkich szos (notabene to żadna sztuka mieć równą szosę, jeżeli wszędzie jest skalny podkład, który nie ugnie się nawet pod największymi ciężarówkami), eleganckich jachtów, spokoju społecznego, dostatku i zadowolonych z siebie ludzi. To złuda. Ludzie poddawani są tam nieustającej obróbce technokratycznej, nastawionej na wykreowanie zgranego kolektywu. Nie ma człowieka w humanistycznym ujęciu. Są ludzie jako trybiki wielkiej, pulsującej maszyny. Na jednostkę patrzy się przez pryzmat miejsca, jakie zajmuje ona w maszynie. Wiadomo, że organizm funkcjonuje najlepiej, gdy wszystkie jego części składowe równo pracują. A tego nigdy się nie osiągnie, jeżeli na plan pierwszy wyjdzie jakaś indywidualność i zaburzy porządek, w jakim cały organizm powinien zgodnie z założeniami pracować.

Szwecja jest krajem wielonarodowym. Teoretycznie rzecz biorąc, każda nacja ma własny przepis na życie, ale presja technokratów nie pozwala na żadne odstępstwa od narzuconego szablonu. Tradycje narodowościowe można pielęgnować w czterech ścianach własnego mieszkania, natomiast w miejscu publicznym obowiązuje „mentalność publiczna”.

Jest to państwo o ustroju, który bez żenady określam mianem „demokracji totalitarnej”. Nikt wprawdzie nie wysyła tam obywateli na Kołymę (jej odpowiednikiem byłaby zapewne wyludniona Laponia), ale słynne u nas teczki zakłada się każdemu. A ponieważ postęp techniczny trafił do Szwecji znacznie wcześniej niż do Polski, toteż zawartość teczek przeniesiono z czasem do centrali komputerowej, wzmacniając dzięki temu jeszcze bardziej potęgę wszechwładnych urzędników, których praca polega w zasadzie na nieustającym zbieraniu informacji o ludziach.

Film amerykański natomiast (chodzi w tym wypadku o przeróżne serie w stylu „zabili go i uciekł” – często z Chuckiem Norrisem i chuckopodobnymi aktorami w rolach głównych) pełni

tak samo ogłupiającą rolę antykulturową jak w każdym innym kraju z Ameryką włącznie. Ba, w wyprodukowanym kilkanaście lat temu filmie akcji pt. *Człowiek demolka*, Sylvester Stallone urządza wokół siebie taką jatkę, że bombardowanie Warszawy przez armię niemiecką podczas wojny dałoby się potraktować jedynie jako uverture do koncertu, z jakim na ekranie wystąpił współczesny mistrz kinowego łoskotu. Jego udział w filmie polegał tylko na wysadzaniu w powietrze wszystkiego, co choć trochę wystaje ponad ziemię.

Importerzy takich cudeniek twierdzą, że istnieje zapotrzebowanie na supermanów, a film amerykański, gdzie jeden macho pokonuje dziesięciu zbirów, którzy w chwili śmierci odbijają się od podłoża i wyskakują efektownie w górę, najlepiej pokrywa to zapotrzebowanie. Oczywiście trafiają się kontestatorzy.

– Widziałeś jakiś amerykański film w telewizji? – zadaje mi retoryczne pytanie młody inżynier Jan Jonsson, jeden z tych, którzy budowali filię IKEI na obrzeżach Warszawy, a w wolnym czasie odreagowywali emocje na siłowni.

– Oczywiście – wzruszam ramionami ze zdziwieniem – przecież u nas w kraju innych filmów nie ma albo prawie nie ma.

– A może potrafisz wyjaśnić, dlaczego oni zawsze ekspozycją swoje amerykańskie męskie tyłki w scenach intymnych, podczas gdy kamera zwykle omija piękne ciało kobiety? Idę o zakład, że gdyby wasza warszawska Syrenka znalazła się któregoś dnia na miejscu zapiętej po samą szyję Statuy Wolności, Amerykanie natychmiast założyliby jej biustonosz! – rozgadał się Jan. – Oczywiście najpierw umocniliby jej biust silikonem! A czy to prawda, że w tej Ameryce mieszkają sami geje?

Ba! Może tak, a może nie. Szczerze mówiąc, w Ameryce spędziłem kiedyś trzy miesiące i żaden gej nie próbował zapolować na moją eksportową niewinność, podczas gdy w Szwecji już pierwszego dnia pobytu, w trakcie poszukiwania noclegu,

natknąłem się na gościa, który oferował mi wspólne łóżko o szerokości deski do prasowania. Ożeż ty, misiek!

Ale gdy zapytałem Jana, czy bardzo cieszy go szwedzki import egzotycznych cudzoziemców, którzy ubiegają się o azyl w jego kraju, prawie przestał oddychać.

– Nnno... w tym miejscu musiałbym mieć więcej czasu na przygotowanie odpowiedzi – odparł z wahaniem i wyraźnie spoważniał.

Jest to postawa charakterystyczna dla prawie całej populacji. Szwedzi są bardzo wrażliwi na krzywdę ludzką i nieustannie deklarują swoją pomoc, udzielając jej w różnych formach. Kłopot w tym, że jedna z tych form, a mianowicie użyczenie własnego skrawka ziemi na osadzenie imigranta, nie jest tak do końca akceptowana. Szwedzi pamiętający lata 60. chętnie przypominają przedstawicielom młodszego pokolenia takie fakty jak ten, że kiedyś nikt nie zamykał drzwi na klucz, wychodząc z domu, że bez obaw można było spacerować w każdej dzielnicy wielkiego miasta nawet nocą i że ludzie częściej niż obecnie uśmiechali się do siebie.

Wszystko się zmieniło, gdy na terenie Królestwa Szwecji wyładował milion cudzoziemców i gdy niektóre rejony wielkich miast zamieniły się w getta wypełnione twarzami o cerze znacznie ciemniejszej niż u dotychczasowych mieszkańców. Media od dawna prowadzą długofalową akcję uświadamiającą rodaków, że pomoc ludziom godnym pożałowania to moralny obowiązek krajów, którym się lepiej powodzi. Ludzie kiwają głowami ze zrozumieniem, ale kiedy te same media informują, że godny pożałowania Serb zabił szwedzką panią minister na szwedzkiej ziemi, obywatele nie wyrzucają telewizorów przez okno, jak to bywa czasem na przykład w Brazylii po przegranym meczu piłkarskim, ale zapraszają sąsiadów na degustację i przy wódce szczerze wymieniają swoje uwagi (dozwolone od lat 18) na temat ministrów, którzy importują sobie zabójców z zagranicy.

Ktoś nieznający szwedzkich dwuznaczności raczej nie zrozumie, co oznacza oficjalna szwedzka manifestacja chęci pomocy dla uchodźców z jednej strony i miotanie przekleństw na tę pomoc z drugiej. A to jest po prostu konflikt zdrowego rozsądku z urzędowo narzuconą moralnością. Tylko najbardziej wtajemniczeni urzędnicy wiedzą, ile kłopotów natury społecznej przysparzają im gesty dobrej woli wobec cudzoziemców, którzy nie chcą pracować, tworzą lokalne getta, stają się kolporterami narkotyków, popełniają różne przestępstwa, których dawniej tam nie było, i ciągle wysuwają nowe żądania pod adresem swoich dobroczyńców.

Kiedys na przyjęciu u pewnego pracownika ambasady szwedzkiej w Warszawie, gdy już martini i nie tylko zostało wypite do połowy, a kto tylko mógł, narzekał na amerykańską kulturę, jaka zalewa kraj przez ekran telewizora, zawołałem:

– Ludzie, ale przecież macie najwięcej na świecie bibliotek! Tam nikt nie wyświetla amerykańskich filmów!

– No właśnie! – przytaknął jeden z dyplomatów. – I dlatego młodzież je omija!

Szwecja nie jest na szczęście zamerykanizowana w takim procencie jak na przykład Polska, ale czas pracuje na niekorzyść. Ostatnim bastionem kultury, tej prawdziwej, historycznej, jest wieś. Sęk w tym, że w przeciwieństwie do Polski, Szwecja przenosi się z miasta na wieś i natychmiast flancuje tam kulturę nowej cywilizacji, czyli kulturę amerykańską. Bo farmerzy nie żyją wiecznie. Bastiony wymierają, a ich nowi dziedzice podkrecają coraz mocniej gałki telewizorów, aby dobrze słyszeć trzask płonącej cysterny z benzyną – symbolu filmowej *new wave*.

Nie po to jednak napisałem tę książkę, aby wybrzydzać, bo na to Szwecja nie zasługuje. Jest to kraj doskonale zorganizowany, a moje spostrzeżenia oznaczają tylko tyle, że na luksusowym dywanie lepiej widać kurz. Jeżeli widać, to odkurzam dalej!

Otóż cechą charakteru przeciętnego Szweda jest megalomania, wyrastająca z przekonania, że ich bogactwo wzięło się z nadzwyczajnych zdolności obywateli do budowania superpaństwa. Szwed ślepo wierzy w to, co przekazuje mu na co dzień rodzima telewizja. A więc najlepsze towary to produkty *made in Sweden*, a najlepsi producenci to Szwedzi. Aby jakikolwiek cudzoziemiec mógł konkurować z tubylcem, musi być znacznie lepszy i musi w tej „lepszości” być jakieś racjonalne, a zarazem sugestywne uzasadnienie.

Zatrudnił mnie kiedyś ogrodnik, pilnie przykazując, żebym polecenia wykonywał dokładnie w myśl jego koncepcji. Dość szybko doszedłem do wniosku, że koncepcja mojego pryncypała była raczej baśniowa niż realistyczna i zaproponowałem mu inny wariant. Chodziło o wykorzystanie płynącego obok strumienia dla utworzenia niewielkiego stawu w ogrodzie. Gospodarz próbował przechytrzyć przyrodę, widocznie we wczesnej młodości naczytał się sporo o radzieckich metodach zawracania rzek w drugą stronę, co ja akurat w delikatny sposób poddałem w wątpliwość, rysując realny plan, niezgodny z baśnią, ale zgodny z prawami przyrody. Szwed od razu powiedział „nie”, ale na drugi dzień nie był już taki pewny siebie i przychylił się do moich racji. Patrzył jednak podejrzliwie na to, co robię, kręcił się jak pies za własnym ogonem, w końcu nie wytrzymał i zapytał, skąd mogę wiedzieć to, co wiem, przecież nie jestem ogrodnikiem. A ponieważ nie jestem, więc cała ta nasza robota będzie diabła warta. Prawie płakał, kiedy o tym mówił.

– Słuchaj! – powiedziałem wreszcie z mocą. – Mój dziadek był znanym w Polsce specjalistą od melioracji, a ja mu wielokrotnie pomagałem w pracy. Taką robotę mam w małym palcu!

Nastrój od razu się zmienił. Mój pomysł nabrał profesjonalnej wiarygodności, dziadek meliorant to jest to, pracę zakończyliśmy tak sensownie, że gospodarz wyprawił przyjęcie dla sąsiadów, aby pochwalić się, jakie cudo wykopał mu przed

domem specjalista z Polski, a ja nie widziałem powodu, by wyjaśnić, że ogród mojego dziadka mieścił się w dwóch skrzynkach na kwiaty i właśnie w tych skrzynkach dziadek robił przepływ, aby korzenie nie zgniły.

Tak na marginesie warto dodać, że Polacy mieszkający na stałe w tym kraju mają u Szwedów doskonałą opinię, co bierze się stąd, że tradycyjna polska zaradność zawsze dawała przyzwoite i wymierne ekonomicznie rezultaty, a to już podnosiło wartość człowieka w oczach sąsiadów. Odwiedzając różne zakątki Szwecji, nie spotkałem Polaka, któremu by się kiepsko powodziło. To nie żaden cud, ale zwykłe tyranie w piątek i świętek pozwalało naszym bogacić się w tempie o wiele szybszym niż szwedzkim sąsiadom, dla których osiem godzin oznacza zawsze koniec dnia pracy, a soboty i niedziele to dni święte, aczkolwiek nie zawsze i nie wszędzie.

Pracuje się różnie i niekoniecznie legalnie, bo przecież praca na czarno kwitnie na całym świecie, a Szwecja wcale od takich zwyczajów nie odstaje, chociaż mieszkańcy tego kraju nie lubią o nielegalnej pracy głośno mówić. Pracują na czarno Szwedzi, pracują też cudzoziemcy. Oczywiście dawne eldorado, chociażby dla polskich wakacjuszy, skończyło się u progu lat dziewięćdziesiątych, kiedy to przelicznik walutowo-złotowy stracił swoją dotychczasową atrakcyjność. Kiedyś na truskawkowym polu można było spotkać doktorów nauk wszelakich, docentów, inżynierów, specjalistów z różnych dziedzin, a szwedzcy plantatorzy przechwalali się między sobą hasłem: „Ja już mam swojego Polaka”. Dzisiaj na zarobek do Szwecji przyjeżdża tylko „ściana wschodnia”, Kieleccyzna i ktoś tam jeszcze z Wybrzeża, bo blisko.

Chętni do pracy jeżdżą od wioski do wioski, wypatrują silosu, bo to oznacza, że właścicielem jest panisko na wielu hektarach, i koledują zazwyczaj w te słowa: „My chcieć arbajt, czy wy mieć już arbajter?”. Najlepszy arbajt jest u ogrodników.

Płacą po 50, czasem po 60 koron za godzinę; taki arbajt trwa dwa albo i trzy miesiące. Chłopaki spod Augustowa mogą tu odkuć się za swoje bezrobocie, zresztą największe w kraju. Inni się krzywią. Cóż dzisiaj znaczy 50 koron? Jedzenie trzeba kupić, benzynę i jeszcze zaoszczędzić. Za mało! Siedemdziesiąt byłoby w sam raz. Niby racja, ale nikt nie chce tyle zapłacić, więc pracuje się za pięćdziesiąt.

Kiedy Polka sprząta u Szweda, czuje się trochę głupio. Przyjechała z niebogatego kraju i taka praca upokarza ją w jakimś stopniu. Bierze, ile dają. Natomiast młode Francuzki lub Angielki, które przecież także przyjeżdżają na letni zarobek, sprzątają bez kompleksów. Mają poczucie własnej wartości, własnej historii opromienionej sukcesami – demonstrowują naturalność i większą pewność siebie niż ich szwedzki pracodawca, a nawet ostro targują się o cenę.

Przypomniała mi się batalia, dla odmiany w wydaniu szwedzkiej policji, jeszcze z roku 1979, kiedy to na truskawkowych polach pełno było Hindusów i Chińczyków, ale jednak najwięcej Polaków. Szwedzkie związki zawodowe ustaliły, że plantatorzy truskawek zatrudniają zbieraczy na czarno, a to jest przecież zabronione. Powinni zatrudniać w pierwszym rzędzie obywatele szwedzkie, do tego legalnie. I wysłali tabuny policjantów na plantacje. Być może przestępcy w miastach mieli akurat dni wolne od pracy.

Radio, telewizja i prasa ścigały się w ukazywaniu rezultatów pogromu. Liczba kar, wydaleń z kraju, czarnych stempli w paszportach była naprawdę imponująca. Praworządność zwyciężyła i odtąd na wszystkich plantacjach były miejsca tylko dla Szwedów. To znaczy: plantator siedział i płakał, czekając, aż jakiś rodak pofatyguje się zrywać jego truskawki.

W następnym roku truskawki zgniły. Duża to strata, bo Szwecja jest poważnym eksporterem tych owoców. A zgniły, bo młodzież do rwania nie przyszła, czemu wcale się nie dziwię,

jako że do tej roboty trzeba mieć wyjątkowo giętki kręgosłup. Cudzoziemców zaś nie przyjmowano. Szlaban to szlaban!

Chłopi klęli na ekranie telewizora, bez cenzury, i szczerze głosili, że rząd jest do dupy. Związki zawodowe uparły się jednak i nie odpuściły, za to policja, która lubi być przyjacielem ludzi, a nawet przyjacielem plantatorów, dała spokój. W kolejnym roku znowu przyjęto do pracy zagranicznych wakcyjuszy i znowu na czarno. Policja, która na polecenie związków zawodowych miała „coś z tym zrobić”, przyjęła taktykę, z której wszyscy byli zadowoleni. Szef komendy miejskiej lub wojewódzkiej dzwonił mianowicie do plantatora i zaczynał w te słowa:

– Svensson? Hej! Podobno u ciebie pracują na czarno jacyś Polacy!

– Coś podobnego! – oburzał się Svensson. – U mnie? To nieprawda!

– Domyślamy się, że nieprawda, ale musimy sprawdzić.

– Jeżeli musicie, to przyjeźdźcie. Może o czternastej?

– OK, będziemy o czternastej.

Wszyscy wiedzą, że truskawki rwie się do południa, a najwyżej do trzynastej, bo potem trzeba je odstawić do punktu skupu, póki jeszcze są świeże. Policja też to wie, ale przedstawienie musi trwać. Zgodnie z umową ktoś z komisariatu przyjeżdża o czternastej, rozgląda się na wszystkie strony, stwierdza, że nikogo nie ma, pisze raport, że owszem był, czarnorobów nie zastał, gospodarz – tytan pracy – osobiście zebrał swoje plony. No i dobrze, formalności stało się zadość, szwedzkie truskawki zostały ocalone.

Głośno o tym się nie mówi, ale niepisana zasada podaje, że gdy jedna instytucja robi błąd, narażając na straty jakąś wartość materialną, to druga instytucja jest upoważniona do korekty tej decyzji, zanim ktoś zostanie niesprawiedliwie poszkodowany. W Szwecji niemożliwa byłaby polska afera sprzed

kilkunastu lat z osławionym Romanem Kluską i jego Optimusem, a także z podobnymi przypadkami, w których prokuratura wspólnie z urzędem podatkowym (a przed wyrokiem sądowym) likwiduje firmę zatrudniającą kilkaset osób, bo ktoś złośliwie podkablował właściciela, że robi coś nie tak jak trzeba. Sto razy ktoś w Szwecji wyciągnąłby takie przedsiębiorstwo z opresji, nie dopuszczając do upadku. I wcale nie z racji jakiegoś szczególnego miłosierdzia, ale wskutek pragmatycznego podejścia: Po co narażać skarb państwa na płacenie zasiłków ludziom, którzy nagle stracili pracę, jeżeli jest człowiek, który płaci im z własnej kieszeni?

W Polsce takie sprawy przywykło się załatwiać przy pomocy walca, który „przyjdzie i wyrówna”. Najpierw organizuje się „sprawiedliwość” w prokuratorskiej aranżacji, a potem zobaczy się, co dalej. Absolutny brak odpowiedzialności za wydawanie publicznych pieniędzy!

Jako reportażysta najpierw „Prawa i Życia”, a później „Gazety Sądowej” miałem niejedną okazję oglądać to wszystko na własne oczy. Mechanizm nieodpowiedzialności jest prosty: właścicielowi firmy stawia się zarzut, że oszukuje państwo; właściciel przedstawia dowody, że to nieprawda – gra w urzędowego ping-ponga przeciąga się, firma zostaje zawieszona na czas trwania śledztwa. Inaczej mówiąc, trzy lub cztery setki pracowników idą na bezrobocie, ale zasiłek wypłaca im skarb państwa, czyli ja, moi znajomi i nieznajomi, zamiast, jak przedtem, właściciel firmy. Po trzech latach przepychanek sąd uniewinnia właściciela, ale firmy już nie ma i nie będzie. Ani urząd skarbowy, ani prokuratura nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za spowodowanie strat dla właściciela i dla państwa. Państwo nikogo nie obchodzi, liczy się tylko „zagroda”, czyli własne poletko, na którym można flekować kolejnych przedsiębiorców, bo za każdym flekowaniem idzie nagroda, niezależnie od wyroku sądowego.

W Szwecji nie mówi się o wartościach chrześcijańskich, co akurat u nas słycać niemal po każdym włączeniu telewizora, ale to parlament szwedzki zabronił stosowania wysoce nieetycznego uboju rytualnego zwierząt przez ludność wyznającą islam lub judaizm, podczas gdy w Polsce jest to wciąż dozwolone, bo – jak twierdził były minister rolnictwa – „demokracja nie może stawiać ograniczeń tego rodzaju”.

Tymczasem w kraju, gdzie nie istnieją takie zażyłości międzyludzkie jak u nas, gdzie naprawdę człowiekowi daleko jest do człowieka, karetka pogotowia przyjeżdża jednak szybciej niż w Polsce, urzędnik nie krzywi się na widok obywatela, mentalność zagrodowa w ogóle nie wchodzi w grę, a gdy na skutek poślizgu na ośnieżonej drodze ktoś wjedzie do rowu, zaraz zatrzyma się pięciu kierowców, aby go stamtąd wyciągnąć. I nie wynika to ze szczególnej sympatii do kierowcy poszkodowanego przez własną brawurę, ale z zamiłowania do porządku. Można długo dyskutować, czy to dobrze, czy źle, ale kto wie – może właśnie ten porządek jest dzisiaj najważniejszy?

Koniec Wersji Demonstracyjnej